

Rodzina Heniszów, Konstancin, willa "Julia" i jej mieszkańcy

Julian Henisz

Po śmierci mojego dziadka Wacława Henisza, w 1923 roku, zaczęły się trudne czasy. Majątki zostały sprzedane. Babka moja Helena, wraz z trójką dzieci - Krzysztofem, Aleksandrem i Wandą, przeniosta się do Warszawy. Pradziadek Aleksander też się wyprowadził i będąc wdowcem, ożenił się powtórnie z panią Rossman i miał z tego związku potomstwo.

Po okresie wczesnego dzieciństwa, spędzonego we dworze rodzinnego majątku w Siedlewie pod Łęczycą, ojciec mój Krzysztof, jak już wspominałem, wraz z matką i dwójką rodzeństwa przeprowadza się do Warszawy. Tu szkoła powszechna, harcerstwo, a potem gimnazjum im. Ziemi Mazowieckiej. Po maturze za namową swego wuja płk Andrzeja Liebicha, ojciec na ochotnika wstępuje do szkoły Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu. Nie pamiętam do jakiego pułku został przydzielony po szkole. Rok spędza w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, a potem do wojny studiuje malarstwo u prof. Felicjana Kowarskiego, w warszawskiej ASP. Sporo rysuje dla zarobku, w tym rysunków satyrycznych. Wraz z bratem i przyjacielem, malarzem Romanem Owidzkim, odbywa podróż przez Bałkany, do Turcji i z powrotem. Na akademii poznaje swą przyszłą żonę, a moją matką Krystyną Machlejd, ze znanej zamożnej rodziny mieszczańskiej. Biorą ślub 8 lipca 1939 roku.

Zmobilizowany w końcu sierpnia 1939 roku, w randze podporucznika, z przydziałem do Piątego Pułku Strzelców Konnych, w ramach wojsk podhalańskich, rozpoczyna swój szlak bojowy w Kwiatoniu, w Beskidzie Niskim. Szlak prowadzi szczytami gór na wschód. Marszowi towarzyszą stałe utarczki raz ze Słowakami, raz z Niemcami. Dociera do Przemyśla, a potem w okolice Lwowa. Od Gródka Jagiellońskiego rozpoczyna się długi i dramatyczny odwrót na zachód, niemal tą samą drogą, którą przybył. Dociera do Zakopanego, w którym od końca lat dwudziestych mieszkała jego matka Helena z domu Liebich, powtórnie zamężna ze znanym miejscowym lekarzem Józefem Żychoniem. Resztę okresu wojennego spędza w Zakopanem, Warszawie i Konstancinie. Krótko po wojnie otrzymuje medal za wojnę 1939-45 i brązową Odznakę Grunwaldzką. Oba odznaczenia niestety gdzieś zaginęły. W 1945 roku oboje rodzice robią dyplomy z malarstwa u prof. Kowarskiego. Matka dodatkowo studiowała konserwację i tkaninę.

Ojciec zawsze posiadający spory talent dekoratora i ilustratora zajął się wystawiennictwem i malarstwem ściennym. Działał na Targach Poznańskich i Wystawie Ziem Odzyskanych. Współpracował też z prof. Kowarskim, a po jego śmierci, wykładał na ASP. Wiele ilustrował, tak literaturę poważną jak i bajki dla dzieci. To ostatnie, jak mi się zdaje, lubił najbardziej. Matka w tym czasie pracowała w Pracowni Konserwacji Zabytków w Warszawie. Uczestniczyła w pierwszej powojennej konserwacji dzieła Jana Matejki „Bitwa pod Grunwaldem”. Konserwowała też malarstwo ścienne w Czerwińsku, Luszynie i w wielu innych miejscach.

Jesienią 1956 roku nastąpił pierwszy wspólny powojenny wyjazd rodziców zagranicę do Holandii i do Francji.

Wspomnę, w tym miejscu, wnuka Wincentego Henisza z drugiego małżeństwa, a syna Włodzimierza, zwanego przez nas stryjem Marianem (zm. w 1954 roku, w Tomaszowie Mazowieckim). Nie wiem czy posiadał własny majątek ziemski. Jedyną właściwie miłością jego życia były konie. Ta znajomość rzeczy była doceniana i dawała mu możliwość prowadzenia stadnin, czy też bycia doradcą w tej dziedzinie w różnych majątkach ziemiańskich. Nietuzinkowym wyczynem było uratowanie z pożogi rewolucyjnej, części przynajmniej, sławnej stadniny księcia Wiaziemskiego. Stryj przeprowadził z Rosji, tylko sobie znanymi drogami i sposobami, przez różne fronty wojny domowej, ową stadninę do Polski. Rodzice moi będąc w Paryżu w 1956 roku odwiedzali księcia Wiaziemskiego i jego żonę, którzy pozostali tu na emigracji. Oboje księstwo, nie mieli słów uznania dla stryja Mariana, jako znawcy koni i dla jego wyczynu. W powstaniu warszawskim stryj był ciężko ranny, tylko dlatego, że ratował młodą klacz, zabłąkaną akurat na linii ognia.

We Francji rodzice spotkali się z bratem ojca Aleksandrem. Ten kontakt i związana z nim od czasu do czasu napływająca pomoc od brata, pozwoliła ojcu na lepsze życie, poważniejsze zajęcie się malarstwem sztalugowym, realizowaniem pomysłów i planowaniem na odległą przyszłość. Zmieniała się też sytuacja w Polsce. Pomoc ze strony jego szwagra, dyrektora handlowego CPLIA, Antoniego Kamińskiego zaowocowała zajęciem się ceramiką dla architektury. Również znajomość z architektem Lechem Duninem z Kurii Metropolitalnej ułatwiła pracę dla architektury sakralnej. Ceramice pozostał ojciec wierny do śmierci.

Matka po wyjściu z Pracowni Konserwacji Zabytków, zaczęła pracować przez lata na warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, jako wykładowca rysunku, na Wydziale Konserwacji. Później, aż do emerytury, pracowała w Muzeum Etnograficznym. Pełniła wiele funkcji w Związku Polskich Artystów Plastyków, najdłużej chyba w sądzie koleżeńskim. Otrzymała dyplom i złotą odznakę tego związku. Mam wrażenie, że była powszechnie lubianą osobą, tak w pracy jak i w rodzinnym Konstancinie. Niektórzy mawiali, że pani Krystyna „to chyba na modzie chowana”. Matka zawsze cicha, skrupulatna aż do przesady, niezwykle przywiązana do męża i całej rodziny, ciągle coś zapisywała. Jak się później okazało zostawiła po sobie stertę zeszytów, zwanych przez nią dzienniczkami, w których zapisywała wszystkie codzienne sprawy. Było w nich zapisane: kto przyszedł, u kogo była, jacy rzemieślnicy, co poprawiali, ile węgla dostarczano na zimę, co ile kosztowało, kto się zaziębił, a kto jest zdrow. Niezwykle uprzejma dla wszystkich, grubiańskich zachowań w stosunku do siebie i do innych nie zapomniała nigdy. W obronie sprawiedliwości, jasnych sytuacji, w chwilach zagrożenia, zmieniała się nie do poznania, stawała się „Iwicą”. Zatem w trudnych sytuacjach była niezastąpiona. Sprawy urzędowe, „wydreptywanie” tego lub owego, było jej domeną.

Ojciec wprost nie mógł żyć bez kontaktu z naturą, zatem to, że mieszkał w Konstancinie, w dawnych czasach jeszcze tak nie zabudowanym, nie zmotoryzowanym, i pachnącym igliwem, w dodatku blisko Wisły, było dla niego prawdziwym szczęściem. Był zamilowanym pejzażystą, więc pozostało po nim szereg obrazów z naszych okolic. Mało tego! Pakował do pociągu nowy sprzęt malarski i jechał np. na Kielecczyznę, którą uwielbiał. Ciągle gdzieś „wyskakiwał” gdy tylko słońce wyszło zza chmur.

Matka, przeciwnie, wolała swój balkon lub ławkę w ogrodzie czy też wypicie południowej kawy z przyjaciółką, w przewiewnej kawiarence. Ceniła sobie wysoko wszystkie przyjaźnie nawet te z dzieciństwa i je podtrzymywała. Wykształcona w dobrych szkołach, zdążyła jeszcze przed wojną odbyć kilka ciekawych podróży. Wychowana w kulcie dla kultury, tak jak rozumiało ją jej i poprzednie pokolenie, bolała nad tym, że prócz łaciny nie poznała greki.

Ojciec się w życiu wiele przechorował, zawsze żył, mimo wrodzonego optymizmu w cieniu wojny, jak zresztą całe jego pokolenie, choć niechętnie o tym mówił. Ten cień i na mnie też spoczywa.

W końcu lat pięćdziesiątych, na mocy słów spowinowaconego z rodziną malarza Adama Styki, pracownia malarska na posesji willi „Uroczą” przy ul. Piotra Skargi w Konstancinie, miała służyć memu ojcu i grupie konstancińskich malarzy. Adam Styka ożeniony z Wandą z domu Engemann, wybudował tę pracownię wiosną 1944 roku. Był to przykład profesjonalnego projektu, z północnym górnym światłem, z antresolą, odpowiednim schowkiem pod nią i pod schodami. Budynek był szalowany z zewnątrz deskami na zakładkę, z warstwą ocieplającą i od wewnątrz obity pilśnią. Krok od niej w „Uroczej” mieszkała siostra Wandy, Maria Gałęcka. Tak ona, jak i wszystkie siostry były mi bliskimi kuzynkami, gdyż ich matką była siostra mego dziadka pastora Juliana Machejda. W pracowni malowali wszyscy, i wszyscy mieli nadane przez ciotkę Marię zwaną przez nas ciotką Manią odpowiednie przydomki. Ojciec – „El Greco”, Madejski – „Goya”, Szeleszkiewicz – „Garibaldi”, Michalski – „Syn Słońca” lub „Apollo”, Buczkowski – „Rebe” lub „Książę”, ja zaś – „Julo”. Innym, z którymi utrzymywała kontakt też nadawała przydomki. Inżynier Gratkowski – „Św. Józef”, Kazimierz Orthwein, piszący historię Jeziornej i Mirkowa – „Bosman”. Sama ciotka zwała się „Mużą”.

Ciotka Maria, mimo skromnych warunków potrafiła zorganizować i skupić wokół siebie wiele osób szczerze jej oddanych, nie wyłączając nas. Jak na muzę przystało krzepiła nas kawą a czasem czymś mocniejszym. Siedziała na kanapie w różowej lub białej sukni dla zabawy, z wachlarzem, w złotych pantoflach i takąż przepaską na włosach. Lampy przestonięte też wachlarzami lub muślinem dawały przytłumione kolorowe światło. Spotykaliśmy się u niej w niedzielę od godz. 11 do 13-13:30. Latem w dzień powszedni, gdy malowaliśmy w sąsiedniej pracowni, zwanej „Antylerią”, o godz. 12, niezmiennie odzywa się głos naszej muzy: „Goya”, „El Greco”, „Julo”! Kawka na stole! Och, przepraszam, dla Ciebie „Julo” jak zwykle herbata. Tak to trwało, mniej więcej do 1970 roku. Po śmierci ciotki i po nowym podziale terenu pracownia została rozebrana, po czym, po różnych smutnych kolejach losu, poszła pewnie na opał.

Ojciec chodził na co dzień po Konstancinie prawie niezmiennie w tym samym. Ciemny golf pod szyję lub rozciągnięta koszula, spodnie szare, flanelowe, pomięte były – zależnie od tego, na jaką parę w szafce akurat ręka trafiła. W chłodniejsze dni wkładał gruby, ciemno niebieski lub czarny sweter. Szedł zamyślony, z rękami splecionymi z tyłu, czasem się zatrzymywał nabierając głęboko powietrza i spoglądał rozmarzonym okiem po niebie, i koronach drzew. Rozgadywał się na spacerze, gdy szedł razem z Zygmuntem Madejskim. Pat i Pataszon!

Ojciec wielki barczysty mężczyzna, 192 cm wzrostu, jasny blondyn, Madejski zaś malutki, ledwie powyżej łokcia ojcu sięgał. Panowie co krok się zatrzymywali, energiczne gestykulując. Postronni pytali: „Co ci dwaj tak się przyjaźnią, skoro bez przerwy się kłócą i sobie wymyślają?”.

W pracowni, w domu, ojciec gdy coś ilustrował, zasiadał w przepaścistym starym fotelu, jeszcze po mej prababce, wciśniętym między okno a nie mniej stary, olbrzymi kredens. Na kolanach trzymał drewnianą rysownicę z gruszkowego drewna, noszącą ślady, może setek wykonanych na niej rysunków. Vis a vis fotela postawiłem mu kiedyś, kupiony przez siebie za pierwsze zarobione pieniądze, zgrabny stół kreślarski. Miał być to prezent i sprzęt ułatwiający pracę – nigdy z niego nie skorzystał. Przy takim „oprzyrządowaniu”, jakim się posługiwał ja bym nawet kreski nie potrafił postawić.

On jednak tworzył, i to moim zdaniem rzeczy wspaniałe. Przy babcinym fotelu, na którym siedział, był zawsze mały stoliczek dookoła powypalany papierosami a nieodłączna filiżanka z kawą stała niemal w powietrzu poza stolikiem. Gdy kończył jedną kawę, szedł po drugą do kuchni, a filiżanka po pierwszej lądowała często pod fotelem. Gdy mu się udała ilustracja do jakiejś bajki np: „Lisa Witalisa”, śmiał się i wołał. „Były w świecie różne lisy”. Ja to słysząc z odległego pokoju podbiegałem i też wołałem „był też lis Ancymon łysy, lis Telesfor farbowany, lis Nikita spod Oszmiany...”, a ojciec już krzyczał pełnym głosem „lecz nie było w świecie lisa, ponad lisa Witalisa”!!! I ściskaliśmy się obaj serdecznie.

W latach, o których piszę było bardzo trudno o materiały malarskie. Olej, pędzle i farby bywały częściej, natomiast bleitramy trzeba było niejednokrotnie robić samemu. Z płótnem - tragedia! Zdobywało się tu i ówdzie prasowaki lniane, z niebieskimi szlankami po bokach, terpentynę kupowało się w niewielkich ilościach w aptece, olej niekiedy też. Biel cynkową, lub tytanową w proszku, oraz klej stolarski do gruntowania też raczej trzeba było „zdobywać”. Gdy tylko trochę podrosłem, zajmowałem się przygotowaniem podobraz, za co ojciec zawsze wylewnie mi dziękował. Sam gdy próbował obić blejtram płótnem, to nie bardzo mu to wychodziło. Jeśli młotek się zapodział, potrafił chwycić odważnik, lub nawet cukiernicę by przybić, gwóźdź i to najczęściej krzywo. O dziwo! W pracach szczególnie zespołowych był zawsze punktualny, przygotowany merytorycznie, konkretny i miły w rozmowach, a już wręcz kokietujący, jeśli rozmówczyniami były kobiety, na które to w życiu bardzo zwracał uwagę, a one na niego. Gdy trzeba było, ubierał się naprawdę elegancko i stosownie do sytuacji. Potrafił, jak nikt inny „wydeptać” ciekawe zamówienie np. na ceramikę architektoniczną. Bardzo dobrze i pewnie prowadził samochód, który przy naszych wspólnych pracach był bez przerwy w ruchu. Jego przyjaciel, Czesław Wielhorski, nie mógł się nadziwić, że „Krzysio, który potrafi, pędzel z farbą oblizać, albo czasem się całkiem zagapić, taki w końcu jest konkretny, uważny i zebrany w sobie”.

Myszę, że już w latach czterdziestych, w słynnym Kasynie, w parku i gdzie indziej rodzice wykorzystywali swe talenty plastyczne. Tak było w przypadku budki z napojami stojącej na skarpie przy plaży nad Jeziorką. Budka była wymalowana przez ojca, w piękne kolorowe kogucie zaprzęgi, korowody weselne, w ludowych strojach, pęki fantastycznych kwiatów i szereg innych elementów dekoracyjnych. W okresie działania SFOS (Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy) oboje rodzice angażowali się w różne akcje na jego rzecz. Duszą tego przedsięwzięcia była niezapomniana Jadwiga Pate. Były bale u Berentowicza, w tym sylwestrowe, na które rodzice wykonywali dekoracje były też loterie fantowe, wyścigi rowerowe itp.

Ojciec poza nielicznymi wyjątkami, podchodził do wszystkiego z entuzjazmem i dziecinną wiarą w sukces. Zwykle pomagało mu szereg osób, które potrafił jakoś wciągnąć do współpracy i realizacji własnych pomysłów. Tak było z Towarzystwem Przyjaciół Twórczości. Na początku lat sześćdziesiątych, przy obecnej ul. Piłsudskiego, ówczesnej Warszawskiej, vis a vis kościoła powstało wspomniane Towarzystwo. Widać musiało być poparcie jakichś dobrych dusz w miejscowych władzach. Włączył się do akcji prof. dr Marian Daszewski, oraz kilka osób z miejscowej inteligencji, jak też ktoś z działaczy kultury z Piaseczna. W Towarzystwie działał bufet, były dwie salki i piękny taras wychodzący na ogród. W Towarzystwie był pion gospodarczy i merytoryczno-kulturalny. Wszystkiemu patronował ojciec! W Towarzystwie odbywały się regularnie prelekcje z udziałem miejscowych i zamiejscowych ciekawych osób. Było też szereg indywidualnych wystaw malarstwa, rzeźby i fotografii. Po roku działania Towarzystwo zamknięto. Z plotek wynikało, że było ono potraktowane, jako zbyt elitarne, nie uwzględniające potrzeb szeroko rozumianego, miejscowego społeczeństwa.

Zamknięcie Towarzystwa, ojciec odczuł boleśnie, jako osobistą porażkę, podobne uczucia miało szereg innych osób. W późniejszym już czasie ojciec wraz ze mną, Zygmuntem Madejskim, Leopoldem Buczkowski i Moniką Żeromską, zainteresowali się Grupą Twórczą – Zalesie i nawiązali z nią kontakt. Pamiętam parę spotkań. Chyba z

inicjatywy kogoś z jej kierownictwa, ojciec otrzymał odznakę „Zasłużonego dla województwa”. W roku 1976 ojciec już poważnie chory, wraz z powyżej wymienionymi osobami, wziął udział w pierwszej wystawie twórczej grupy „Piaseczno”, będącej pod kierownictwem pani Leokadii Nastały. Przed tą datą, jak i po niej utrzymywał z nią kontakt. Zmarł przedwcześnie w 1978 r. mając 63 lata, do końca snując plany twórcze na przyszłość.

Jeszcze w latach siedemdziesiątych, za życia ojca, w „Julii” zaczęto być pustawo. Ja ożeniony w 1972 roku z Jolantą, z domu Rębkowską, historykiem sztuki i krytykiem zarazem, przeniósłem się do jej rodzinnego domu w Warszawie. Niemal co dzień telefonowałem do „Julii”, raz po raz w niej bywałem choćby z racji wspólnych prac z ojcem, ale jednak już stale nie przebywałem pod jej dachem. Chyba w 1974 roku zorganizowaliśmy sobie z żoną, w jednym z pokoi w „Julii”, zabudowując też część korytarza, małe gospodarstwo. Chcieliśmy być bliżej i częściej z mymi rodzicami, no i cieszyć się samym Konstancinem. Krewni mający też swoje mieszkania w Warszawie, bywało, że do „Julii” wpadali tylko od czasu do czasu, a niekiedy nawet wcale, bo nie było ich w kraju. Matka zajmowała się coraz bardziej niedomagającym ojcem i większością spraw tyczących nie tylko jej mieszkania, ale całego domu. Stawało się to dla niej wielkim obciążeniem i przestawała nad wszystkim panować. Bywało, że pozostawała w domu na dłużej całkowicie sama z chorym ojcem, a po jego śmierci w 1978 roku, sama, w sensie dosłownym. W roku 1982 zdecydowaliśmy z żoną, o przeprowadzce na stałe do Konstancina, gdzie pozostaliśmy do 2007 roku.

Postaram się opisać stan „Julii” w momencie naszej przeprowadzki, powiedzieć też o jej powojennej historii i naszych wysiłkach, oraz reszty rodziny w utrzymaniu domu, w jakim takim stanie. Od maja 1944 roku, to jest od daty wyrzucenia nas z „Julii”, postępowało, raz szybciej, raz wolniej, stopniowe niszczenie domu, jak i jego otoczenia. To samo działo się chyba w całym Konstancinie. Gdy byłem małym chłopcem, a potem nieco starszym, docierało do mnie, że to czy owo trzeba w domu zreperować, że był hydraulik, czy że ma przyjść elektryk, że komórka na węgiel się rozsypuje, ale to wszystko. Nie byłem w to zaangażowany, jako pełnoprawny współwłaściciel i decydent. Tym wszystkim zajmowali się dorośli. Powojenna „Julia” to dom pełen mieszkańców, tak rodziny, jak i powinowatych i obcych. Mieszkanką pomieszczenia na parterze, osobą numer jeden, z wieku i urzędu, była moja babka, Krystyna Machlejd, z domu Ulrich, matka mojej matki i Haliny Herse. Zmarła w 1958 roku.

Nie związany z rodziną ale mieszkający tu od lat był nasz ogrodnik, człowiek o wielu talentach, Jan Naźwikowski z żoną (zm. 1974). Dwie rodziny, z którymi wiązało nas powinowactwo i z którymi żyliśmy jakoś bliżej, to byli państwo Szaniawscy, i małżeństwo Jana i Zofii Blunck. Z dwójką mych rówieśników, małych Szaniawskich, przyjaźniłem się szczerze. Przyjaźń z Markiem pozostała do dziś, z resztą jego rodzeństwa, tylko znajomość. Przez dobrych parę lat mieszkał w „Julii” pan Mieczysław Pruszyński z żoną i dwójką małych dzieci. Znana i ciekawa była to postać. Przyjaźń mych rodziców, mej ciotki Haliny, z obojgiem Pruszyńskich przetrwała przez długie, długie lata. W domku, w ogrodzie, w małych pokoikach nad garażem mieszkała wraz ze swym siostrzeńcem, pani Wiewiórowa – krawcowa, a zatem przy tak licznej „obsadzie” Julii, ciągle zlecano jej szycie, poprawki i przymiarki. Chyba w 1948 lub 49 roku zamieszkał u nas Czesław Ośka, z żoną Jadwigą. On zdolny murarz, w późniejszych czasach bardzo pomocny przy montażu naszych kompozycji ceramicznych. W domu zajmował się cięższymi, typowo męskimi sprawami wymagającymi młotka, siekiery, czy też łopaty, natomiast żona Jadwiga pomagała w sprawach wymagających kobiecej ręki.

W pokoju na piętrze, po wielu latach zamienionym na moją pracownię, mieszkała do swej śmierci w 1948 roku moja prababka Wanda Ulrich, z domu Wölffin, wraz ze swoją, od dawien dawna opiekunką Anną Skorupską, zwaną przez wszystkich, „Lubcią” (zm. 1958). Nieodłączną naszą towarzyszką była moja opiekunka z dzieciństwa, zajmująca się teraz kuchnią, Maria Lizończyk, zwana „Mancią” (zm. 1974). Mieszkanką piętra, a potem parteru, była niedysydysja soty Konstancina Zofia Müller (zm. 1980).

W „Julii” mieszkały, lub przemieszkiwały moje siostry cioteczne córki Haliny Herse, Jolanta Richter, późniejsza Varisella i Teresa Herse, późniejsza Górską, ze swym mężem Kazimierzem. Ci ostatni są do dziś w „Julii” na drugim piętrze. Długie lata przebywała na piętrze Anna Varsiella, córka Jolanty, wraz ze swym mężem Pawłem Hanaszem. Po śmierci swej żony Jadwigi, mieszkający też na parterze Czesław Ośka, wyprowadził się po jakimś czasie, a jego miejsce zajęło małżeństwo państwa Ziętków, wraz z córką. Tylko ja z rodzicami i wspomnianą Mancią zajmowaliśmy niezmiennie swe pomieszczenia na pierwszym piętrze. Tutaj też po przeprowadzce z Warszawy mieszkałem z żoną, aż do wyjścia z „Julii” w 2007 r. Ciotka Halina Herse, tak jak i my nie opuszczała swego drugiego piętra, do swej śmierci w 1989 r.

Teraz o samym domu, jednym z może lepiej utrzymanych przed wojną oraz w pierwszych latach okupacji, i jego otoczeniu. Niebawem powojenna zmiana wpłynęła na wszystko i wszystkich. Dom był eksploatowany, ale nie mógł być już należycie utrzymywany ani nawet konserwowany. Powtórzę, że wszystkim niemal na wszystko brakowało pieniędzy. Ludzi, do których można się było kiedyś zwrócić o to i owo, też ubywało. Co młodszy mieszkańcy „Julii” znikali rano, by wrócić dopiero wieczorem z pracy, zatłoczoną kolejką lub autobusem. Do prowadzenia takiego domu potrzeba prócz pieniędzy, zmysłu organizacyjnego, powszechnego zainteresowania sprawą i włożenia własnego wysiłku, na który wielu osób nie było stać. Wielu też nie umiało i nie wiedziało, co i jak zrobić, albo miało znacznie ważniejsze problemy. Moja babka, Krystyna Machlejd, niemal do swej śmierci z trudem administrowała całością. O trudnościach w zdobyciu czegokolwiek z materiałów potrzebnych do konserwacji domu, takich jak worek cementu, kawałek blachy, czy rury nie będę pisał, bo była to bolączka powszechna. Wspomnę to, co zostało jeszcze w „Julii” i w jej otoczeniu zaraz po wojnie, i co z latami zniknęło, zarastało zielskiem, zmieniało przeznaczenie, poszło na opał, lub złomiarze wywieźli. Napiszę też oczywiście, o tym, co pojawiło się nowego, co zostało odremontowane, usprawnione, i co nabrało blasku.

Brama wjazdowa była drewniana na bardzo wysokich słupach, zwieńczonych poprzeczną, ozdobną belką, podtrzymywaną przez skośne wsporniki przytwierdzone do słupów. Sztachety furty, nie pamiętam czy jedno, czy dwu skrzydłowej, też były wysokie, wyższe niż sztachety płotu. Przy bramie była furtka z zardzewiałym już guzikiem dzwonka. Całość wraz z otaczającym płotem pomalowana na zielono. W głębi ogrodu, przy domku gospodarczym, z dawną stajnią, a potem garażem, mającym też na piętrze pokoiki mieszkalne, stała cieplarnia, używana jeszcze przez parę lat, coś tam hodowano, potem składowano, aż w końcu została rozebrana. Stała tam też już zrujnowana szopa, pewno stara narzędziówka. Ten kąt ogrodu był później śmietnikiem, a jeszcze później, po nawiezieniu ziemi i przekopaniu stał się warzywnikiem. Domek i „Julia” były nieskanalizowane, kolejno w różnych miejscach na posesji kopało się szamba, wybierane przez lata kubłami, zanim pojawiły się znane nam szambiaraki.

Obok wspomnianego domku gospodarczego stały, chyba do połowy lat osiemdziesiątych, tak jak płot, malowane na zielono, komórki lokatorskie na opał. Do domku od strony sąsiedniej posesji przylegał klozet, zwany popularnie „stawojką”, a do niego z kolei, mały kurnik, kury w nim hodowane, znacznie wzbogacały skromny stół w owych trudnych czasach. Choć już nieco porośnięte chwastami, wyraźne były ścieżki ogrodowe, które meandrując wyznaczały faliste granice trawników. Na ścieżkach zachował się jasny żwir, którym kiedyś były posypane. W kilku miejscach ścieżka przechodziła pod łukiem pergoli z drobnymi, pnącymi się różyczkami. Od południowej strony przy domu, była altana z szeroką ławką - zostało z niej jeszcze parę patyków. Przy wjeździe na posesję, z lewej strony, na płacyku wśród drzew, też był kącik do posiedzenia, z dwiema ławkami, naprzeciw siebie. Na skraju trawnika, z widokiem na południową werandę domu, pod brzozą, stała trójboczna altana, z wkopanym pośrodku stolikiem. Po tej altanie, jak i po pergolach, i kąciku „do posiedzenia”, przy wjeździe, nic nie pozostało.

Był też, na górze ogródek skalny, za mojej pamięci, różnił się tylko od obecnego mniejszą ilością zarośli i chwastów, zaś liczne i wielkie kamienie pozostały niezmiennie. Charakterystyczną cechą ogrodu były tuje okalające dom i będące przy wjeździe, oraz obecność lip, sosen, paru brzoź i krzewów jaśminu. To się najmniej zmieniło. Ogród, jak to ogród, coś uschło, coś się rozkrzewiło, coś wycięto, lub coś dosadzono, zatem raz piękniał, a raz dziczał. Po lewej stronie głównego wejścia do domu, było wejście boczne, do którego prowadziły drewniane ozdobne schodki - po przegniciu ich konstrukcji, zrobiono zwykłe betonowe. Schodki musiały też być po prawej stronie głównego wejścia, ale tego nie pamiętam. Do obu bocznych werand, też były wejścia z zewnątrz, pamiętam tylko metalowe ozdobne poręcze do nie istniejących już schodów, złożone w komórce domku gospodarczego.

W latach sześćdziesiątych zacząłem się włączać powoli w różne sprawy dotyczące domu. Na ojcu jednak, jako na prowadzącym samochód spoczywał największy obowiązek, przynajmniej podwożenia matki lub mnie, czy też nas obojga, a to do urzędu, a to do składu opałowego, elektrowni, czy też gdzie indziej. Z czasem gdy sam już miałem samochód, a ojciec wyłączył się ze wszystkiego, a potem zmarł, stałem się nieodzownym przy wszelkich większych zakupach i załatwianiu bieżących spraw. Nad tym co przez lata się zepsuło, a co się zreperowało, co się zbudowało, a co rozebrano, zbyt szczegółowo nie będę się rozwodził, bo i wspominać czasem nie miło.

Z zachwytem chcę powiedzieć o tym, co po trudach powstało na pierwszym piętrze, a i po trosze w najbliższym otoczeniu, dzięki pracowitości i pomysłowości mojej Joli. Myślę o naszym mieszkaniu i o mojej pracowni, gdzie przeżyliśmy 24 lata.

W drugiej połowie lat sześćdziesiątych, dom „szarpnął” się na dwie inwestycje. Przy deszczach woda lejąca się przez dach, niereperowany należycie od wojny, spływała niemal do parteru, zatem raz dwa trzeba było zająć się tą sprawą. Z trudem wyszukamy dekarz, z jeszcze większym trudem zdobyty eternitem, pokrył dziurawą blachę na dachu, położoną jeszcze w 1905 roku. Zatem, na razie był jaki taki spokój. Sztachety w płocie, też z czasu budowy domu, łatanie wzmacniane, podpierane, nocami zaczęto podkradać na opał. Raz słyszałem: „Heniu, ciąg k... te sztachetki, ino cicho, bo te wiedźmy w budynku usłyszom”. I znowu! „Zdobywane” słupki żelazne, trochę cementu z przydziału, trochę pożyczonego, siatka – „rarytas”, i gruz już bez problemu. Płot stanął z pomocą Czesława Ośki i jego znajomego.

Lata siedemdziesiąte, to początek problemów z wodą – obniżenie lustra wody w Konstancinie. Motor i pompa wodna, do wymiany, oba nowe urządzenia przeniesiono w głąb studni. Nowe instalacje elektryczne, czujniki do sterowania tym wszystkim, to też trzeba było albo zmieniać albo naprawiać przez lata, aż do czasu podłączenia, niedawno, wody miejskiej.

Wspomnę teraz o moich zajęciach zawodowych, od 1960 roku do dziś. Początek, to przede wszystkim Akademia Sztuk Pięknych i uczestnictwo w najszerszym możliwie zakresie, w realizacjach ceramicznych dla architektury. Roczny wyjazd do Francji pomógł mi w przyzwoitym zrobieniu dyplomu, potem dwa kolejne wyjazdy, po dwa miesiące, zaowocowały dobrym zestawem prac, bo zostałem przyjęty, niemal jednogłośnie do Związku Polskich Artystów Plastyków, w 1974 roku, jako członek rzeczywisty. Przez dobrych parę lat od dyplomu miałem na parterze „Julii” pracownię, po ślubie dojeżdżałem do niej z Warszawy, potem przekazałem to pomieszczenie rodzinie. Do 1981 roku starałem się trzymać z różnym powodzeniem obie „sroki za ogon”, czyli prace dla architektury i malarstwo sztalugowe. Do tego też czasu udało mi się sporo namalować i w ciekawych miejscach wystawiać. Zająłem się też projektowaniem graficznym, nie trwało to jednak długo. Wraz z pogłębiającą się chorobą ojca, coraz więcej obowiązków wynikających ze wspólnej działalności musiałem brać na siebie. Po jego śmierci kończyłem rozpoczęte realizacje.

Z początkiem lat osiemdziesiątych zakończyły się możliwości kontynuowania ceramiki. Grafika książkowa, czy wystawiennictwo, było zajęciem interesującym, ale nie na tyle, bym w tych dziedzinach widział swoją przyszłość. Z pomocą przyszedł mi, przyjaciel ojca, mój i rodziny, architekt z Kurii Metropolitalnej Lech Dunin. W dwa tygodnie musiałem się zapoznać z podstawami witrażu klasycznego i przystąpić do projektowania. W sumie przez dwadzieścia lat z pewnymi przerwami byłem witrażystą. Rysunkiem i pastelami zająłem się na serio od 2002 roku, a do malarstwa sztalugowego powróciłem dopiero w 2007 roku.

Wracam do momentu mego powrotu do Konstancina, w roku 1982, po dziesięcioletnim przebywaniu pod dachem domu mych teściów, w Warszawie. Mieliśmy ze sobą pewien zapas gotówki, wiedząc że czeka nas zorganizowanie mieszkania i szereg prac dotyczących całości domu. Miało być tanio, dobrze i względnie szybko, przy udziale pozostałych mieszkańców w zaplanowanych pracach. Rzeczywistość w znacznym stopniu rozminęła się z naszymi oczekiwaniami. Komendę nad całością objęła moja Jola. Rodzina rozproszona, dojeżdżająca na remontowe narady, w większości raczej wiekowa i nie mogąca podjąć szeregu czynności. Regularny dopływ gotówki często szwankował. Lokatorzy wyłączyli się natychmiast z wszelkich prac. Zakres koniecznych robót okazał się znacznie szerszy od planowanego. Często miałem wrażenie, że Jola już nie podoła wysiłkowi i obowiązkowi, jakich się podjęła. Mój udział w całym programie, bywał jednak ograniczony z racji zawodowych. Co chwila przenosiłem się z kąta w kąt z projektowaniem witraży, często też byłem poza domem, u witrażysty, na montażach, i na rozmowach z klientami.

Na naszym piętrze nastąpiły przemieszczenia i zmiany funkcji poszczególnych pokoi. Wiązało się to też z przebudową niektórych miejsc, zmianą wyposażenia, wzmocnieniami istniejących konstrukcji, wymianą instalacji elektrycznej i pracami hydraulicznymi. Te dwie ostatnie sprawy objęły też część reszty domu. Ciekący znowu dach trzeba było naprawić i robić obróbki blacharskie przy kominach. Było też skrobanie i malowanie otworów drzwiowych i okiennych w całym domu, malowanie klatki schodowej, i sto innych rzeczy, o których już nie wspomnę. Po dwu latach życia w kurzu, bałaganie i hałasie, wreszcie można było zacząć funkcjonować. Sprawa rozebrania południowej werandy, wymiana szeregu jej elementów i powtórne złożenie trwało jeszcze bardzo długo. Niemałej mobilizacji wymagało też doprowadzenie gazu i zakup pieca, w miejsce rozpadającego się węglowo-kokosowego. Od 1992 roku, przez dziesięć lat istniała firma dziewiarska, wymyślona i prowadzona przez Jolę. Pierwsze lata jej istnienia upłynęły w „Julii”, w naszym mieszkaniu, potem przeniosła się do Piaseczna. Mimo mej pomocy w firmie i zastoju w witrażach, udało mi się w tym czasie naprawdę wiele narysować i zaprojektować komplety witraży do trzech kościołów. Po 2002 roku byliśmy już cały czas w „Julii” razem z matką.

Parę lat po śmierci cioci Hali Herse (zmarła w 1989), ruszył też pierwszy poważniejszy remont, przebudowa drugiego piętra i części parteru, prowadzona przez Górskich. Drugi etap tych prac rozpoczął się w początkach lat dwutysięcznych.

W tym czasie powstało piękne ogrodzenie posesji, już rzadko spotykane, a były to drewniane bejcowane sztachety. Zniknął też z domu popękany i w kółko łatany eternit, położono na nim i na parapetach blachę tytanową, zmieniono też rynny i rury spustowe. Ozdoby blaszane, jak kule, wieżyczki, daszki i inne, poddane zostały renowacji, a czasem wykonane od nowa. Zebrane w jednym z pomieszczeń Domku gospodarczego, czekają na lepsze czasy.

W 2006 roku, krótko przed naszą przeprowadzką do Piaseczna, zmarła moja matka w wieku osiemdziesięciu ośmiu lat. Spokojnie i cicho, wśród swoich książek, drobiazgów i pamiątek, otoczona rodziną. Jeśli się już to miało zdarzyć, to dobrze, że zdarzyło się w takiej chwili i takiej scenerii. Po naszym wyjściu z Konstancina, od dziesiątek lat „heniszowskie” piętro przejęła pozostała rodzina.

Julian Henisz
20 czerwca 2012